

Agnieszka Urbańska

# Rycerz na karuzeli

ilustrował Zbigniew Dobosz



Wydawnictwo Skrzał  
Kraków

# Zbroja pilnie poszukiwana



Grześ od zawsze chciał zostać rycerzem.  
Najprawdziwszym. W zbroi, na koniu,  
z mieczem i tarczą. Wyobrażał sobie, że  
któregoś dnia, gdy domownicy będą jeść  
obiad, wejdzie do kuchni w stalowym,  
błyszczącym pancerzu i hełmie na głowie.  
Wszyscy na ten widok spadną z krzeseł,  
a on z miną zwycięzcy wskoczy na taboret.  
I mama nie każe mu jeść zupy jarzynowej,

za to na deser dostanie podwójną porcję sernika z brzoskwiniami.

Niestety, zdobycie prawdziwej zbroi, miecza ze stali i tarczy, która rzeczywiście broniłaby przed niebezpieczeństwami, okazało się bardzo trudne. Wprawdzie na urodziny Grzesia kurier z firmy przewozowej dostarczył dużą i płaską paczkę, ale jej zawartością chłopiec nie był zachwycony. Jak pokazać się na podwórku w czymś z plastikowych łusek połączonych kółeczkami? Młodszy brat dotknął tego stroju rycerskiego i zaraz urwał kilka elementów.

Grześ bardzo się zdenerwował i aż krzyknął:

4

– Bo znajdę jakiś loch i zamknę cię w nim na całe popołudnie. A tort zjem sam!

Mama i tato musieli go upomnieć:

– Grzegorz, nie strasz braciszka! To nie po rycersku.

Kilka dni później chłopiec dostał miecz w prezencie od dziadków. Tym podarunkiem też się nie zachwyił. Podobnie jak zbroję zrobiono go z plastiku. „Takim czymś nie pokonam innego rycerza, nie mówiąc już o smokach i podobnych bestiach” – myślał i uderzał mieczem w pokrzywy rosnące pod płotem.

Grześ wiedział jednak, że nie można się poddawać. Powtarzał mu to jego dziadek,

5

który sporo w życiu widział, a w młodości wspinał się na najwyższe góry świata. Dzięki tym słowom chłopiec dzielnie zniósł miesięczny pobyt w szpitalu oraz zastrzyki rano i wieczorem. Po prostu zaciskał zęby i myślał, że taki zastrzyk to nic w porównaniu z tym, co musiał znosić rycerz. Gdy walczył w palącym słońcu, to dopiero była męka! Albo te wszystkie potwory i dzikie zwierzęta, które czyhały na niego, gdy samotnie wędrował przez gęsty, ciemny las.

Grześ nie byłby więc sobą, gdyby ot tak, z dnia na dzień, zapomniał o byciu rycerzem. Przecież sześciolatek chłopiec

musi mieć głowę na karku. Postanowił sam zrobić sobie zbroję. Wziął z kuchni metalowe naczynie zwane durszlakiem. Domownicy odcedzali w nim makaron po ugotowaniu. Wypolerował je miękką szmatką, aż nabrało takiego blasku jak rycerska stal. Rodzice nie wyrzucili jeszcze kartonowego pudła po sprzęcie grającym, co bardzo chłopca ucieszyło. Zrobił w nim otwory na głowę i ręce. Okleił je srebrną folią, w którą mama zawijała kanapki. Z szafy wyjął kurtkę w kolorze stalowym. Wkładał ją, gdy w zimie zjeżdżał z pobliskiej górki na nartach.

Tak wystrojony Grześ stanął przed lustrem w przedpokoju. Zrobił groźną minę.

„No, smok chyba by się nie przestraszył, ale na dziewczynach może zrobiłbym wrażenie” – pomyślał i uśmiechnął się do siebie. „W końcu nie co dzień spotyka się rycerza. Co z tego, że w kartonowym pudle i durszlaku na głowie.

Rycerz też powinien mieć swój styl”.



Grzesiowi udało się niepostrzeżenie wymknąć na podwórko. Zobaczył go Kuba z drugiej klatki i krzyknął:

– Cześć! Jedziesz na wieś? A może idziesz na bal przebierańców?

Chłopiec postanowił nie przejmować się żartami kolegi.

– Tak sobie wyobrażam modę rycerską. I już! – powiedział.

Po chwili Grzesiowi zrobiło się gorąco. Dzień był ciepły, majowy, dlatego trudno się dziwić, że w zimowej kurtce strasznie się spocił. Durszlak co rusz przekrzywił się na jego głowie, więc musiał go ciągle poprawiać. Mimo wszystko – sprężystym, energicznym

krokiem – szedł przez podwórko. Koledzy i koleżanki Grzesia, którzy kręcili się koło huśtawek i piaskownicy, chichotali z rycerza, ale po jakimś czasie doszli do wniosku, że takie przebranie to świetna zabawa. Zaczęli się zastanawiać, kogo oni mogliby poudawać. Chłopcy mieli różne pomysły. Jeden wymyślił, że chciałby włożyć fartuch lekarski.

– To się nazywa kitel – wyjaśniła mu mądra Ola.

Inny stwierdził, że dobrze poczułby się jako strach na wróble. To bardzo rozśmieszyło dzieci. Grześ musiał aż przytrzymać swój dziurkowany hełm.

Niewiele brakowało, a spadłby mu na ziemię i jeszcze by się porysował. Babci byłoby przykro!

Chłopiec przechadzał się dumnie po podwórku. Właśnie w tym momencie nad osiedlem pojawił się mag Jan Frak. Był to czarodziej, który uwielbiał latać. Robił to na różne sposoby: helikopterem, samolotem odrzutowym, balonem. Czasem przypinał sobie skrzydła. Tego popołudnia żona poprosiła go, żeby wypastował jej wizytowe pantofle. Mag siedział na chodniku w przedpokoju i nagle... poczuł nieodpartą chęć latania. Szczotka do pastowania i but wyleciały mu z dłoni. Chodniczek zaszurał,

zaświstał i uniósł się w powietrze. Poleciał do pokoju i wyfrunął przez otwarte okno.

Mag Frak leciał więc na chodniczku w pasy. Zadowolony podkręcał sobie smoliście czarne wąsy. W pewnej chwili zauważył, że na osiedlowym podwórku coś wyjątkowo błyszczący. „Może skarb, a może czyjeś nażelowane włosy?” – zastanawiał się. Obniżył lot i zobaczył, że to mały chłopiec w stalowej kurtce, srebrnym pudle i durszlaku umiejscowionym na gęstej czuprynie. „A temu co przyszło do głowy?” – roześmiał się.

Jan Frak dobrze rozumiał dzieci. I to właśnie one, nie dorośli, potrafiły go

